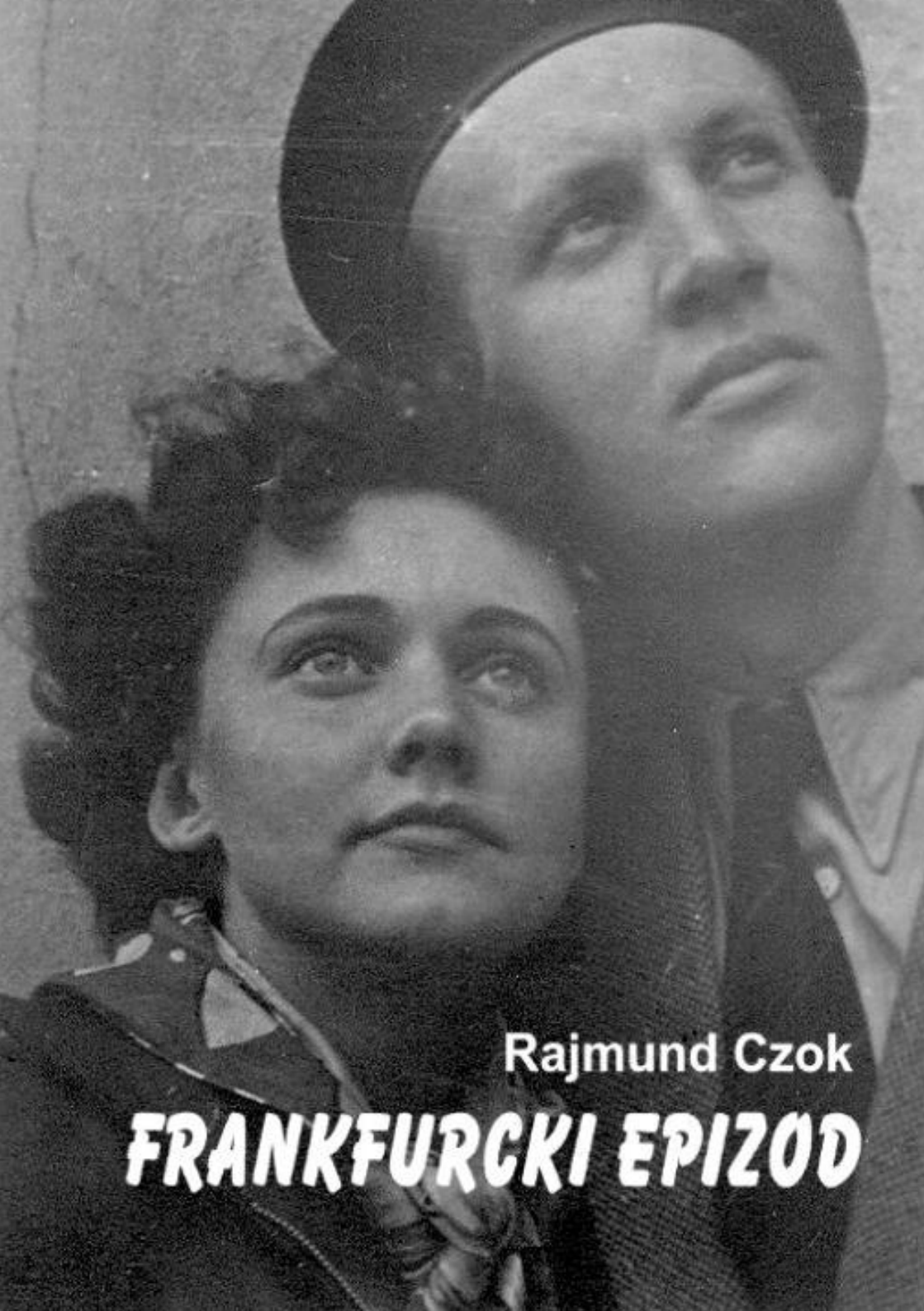




Rajmund Czok

# **FRANKFURCKI EPIZOD**



Rajmund Czok  
**FRANKFURCKI**  
**EPIZOD**

Copyright © 2011 by Rajmund Czok  
Gliwice – Frankfurt am Main  
Wydanie II  
poprawione i poszerzone

Projekt okładki: Izydor v. Kolisko

ISBN 978-83-62480-54-8

Wydawnictwo e-bookowo

## Od autora

Osoba trzydziestoletnia sięgająca w powieści do motywów autobiograficznych czyni to – moim zdaniem – tylko dla własnej satysfakcji. Mam wrażenie, że napisanie powieści autobiograficznej bardziej przystoi osobie starszej, która powiedziała już wszystko o cudzych światach i spokojnie pragnie wrócić do świata swojego, jakiego chciałaby przeżyć jeszcze raz, gdyby mogła być po raz drugi trzydziestolatką? Jestem zdania, że miarą prawdy w takiej powieści powinien być także sam autentyzm wszelkich zdarzeń i jakaś szczerłość pisarska.

W moim powojennym życiu było wiele dziwnych lat. Na motywach przeżyć i doświadczeń z tamtego okresu powstała ta powieść. Fakty są autentyczne, niezmyślane i mimo, że napisana w osobie pierwszej, nie stanowi w żadnym wypadku powieści autobiograficznej.

Czy ktoś mi uwierzy, że są takie losy ludzkie? Młodzi ludzie powiedzą, wszystko zostało zmyślane – fikcja literacka? Tym razem jest to prawda, szczerza, bez uchybień, dodatków i upiększeń.

U schyłku lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, trzynaście lat po zakończeniu drugiej wojny światowej w Polsce nastał polityczny okres tak zwanej odwilży październikowej. Więziony do niedawna były sekretarz generalny PPR Wiesław Gomułka z woli zjednoczonej partii dostał najwyższego zaszczytu w państwie – pierwszego sekretarza KC PZPR. Dotąd hermetycznie zamknięta i czujnie strzeżona granica zachodnia dzięki liberalizowanej polityce partii i rządu, została nagle odblokowana. W dziejach ludowego państwa od razu zrodził się masowy exodus – *Drang nach Westen*.

Byłem wówczas młodym człowiekiem, któremu zamarzyło się poznanie życia w wolnym demokratycznym świecie. Jako stateczny obywatel PRL-u, złożyłem wniosek o paszport do Republiki Federalnej Niemiec. Po miesiącach nerwowego oczekiwania wezwany zostałem do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Nogi pode mną się ugięły.

Długo błądziłem po słabo oświetlonym korytarzu. Wiele nie brakowało, a byłbym wpadł na stojak z kwiatami. W końcu trafiłem pod właściwe drzwi. Zapukałem. Wszedłem do gabinetu ze staromodnym biurkiem z czasu wczesnego Bieruta. Przedstawiłem się. Oficer bezpieczeństwa, okraszając swoje słowa przyjaznym uśmiechem, zapytał:

– Pan pewnie się domyśla, dlaczego został tutaj poproszony?

Niby skąd miałem wiedzieć? Dlatego bezradnie wzruszyłem ramionami.

– Pan złożył wniosek o paszport...

– Tak – od razu wszedłem mu w słowo. – Zamierzam udać się do RFN.

– Za żelazną kurtynę! Z tym wiązą się pewne problemy. Wprawdzie nasza październikowa odwilż polityczna sprawiła, że prawa obywatela stały się święte, ale ja tu jestem od tego, żeby stać na ich straży. – Oficer ubrany po cywilnemu zmierzył mnie bystro, sięgnął do szuflady po skoroszyt, pogrzebał w nim chwilę z obojętną miną, poczym rzekł: – Mam tu pana sprawę, którą muszę doprowadzić do końca... – spojrzał na mnie bystro, zapaliwszy papierosa ze złotym munsztukiem. – Nie będę niczego ukrywał, będę szczery, powiem zresztą wprost... naturalnie w zaufaniu: inaczej rozmawiam tu z inteligentem, inaczej z robotnikiem czy chłopem. Liczy się poziom inteligencji! Chyba się rozumiemy? Pan jest dziennikarzem...

Milczałem. Oficer śledczy wyjął z biurka butelkę koniaku i dwa kieliszki.

– W takim razie napijmy za pański wyjazd! – uśmiechnął się i stuknął kieliszkiem o mój.

– Czyżby...? – nagle głos mi uwiązł w gardle.

Uśmiechnął się teraz nieco przyjaźniej, z szuflady biurka wyjął paszport i go podał. Od razu poczułem ogromną ulgę.

– Gdzie pan zamierza się zatrzymać? – zapytał niby obojętnie, jednak w jego głosie wyczułem służbową dociekliwość.

– Jadę do Frankfurtu nad Menem – odparłem.

– Hmm... Interesujące miasto. Powinien pan tam na wszystko mieć oczy i uszy..., rozumiemy się? – Śledczy zaciągnął się głęboko Wawelem i nie spuszczał ze mnie oka. – Och, przepraszam, pan pewnie też zapali? – chciał mnie poczęstować, ale podziękowałem. – Gdyby pan tam spotkał ciekawych ludzi, powinien z nimi otwarcie rozmawiać... i delikatnie wybać! Rozumiemy się? Po pańskim powrocie spotkamy się tu ponownie, wtedy pan mi wszystko zrelacjonuje... i wypijemy drugi kieliszek koniaku. Rozumiemy się?

– Czego pan się po mnie spodziewa, czego oczekuje? – zapytałem skonsternowany.

Śledczy odruchowo otarł czoło i wybałuszył na mnie oczy. Wstał gwałtownie zza biurka, dając do zrozumienia, że na tym rozmowa zakończona.

Korytarz w stronę wyjścia ciągnął się w nieskończoność, jego środkiem ułożony był pas linoleum, który pachniał pastą podłogową. Zza pleców usłyszałem: *Do rychłego zobaczenia. Będę oczekiwał pana z drugim kieliszkiem koniaku!*

Teraz już nie szedłem a biegłem, chciałem jak najszybciej opuścić ponure gmaszysko. Kiedy dotarłem na zewnątrz, owionął mnie zbawienny wietrzyk. Wtedy już czułem podświadomie wymarzony świat: piękny, kolorowy, pachnący, pełen dolarów i marek.



To, co zastałem w kraju usłanym dolarami i markami, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Reklamy krzyczały wszystkimi kolorami, przechodnie mówili dziesiątkami języków, żołnierze amerykańscy spacerowali pod rękę z młodymi Niemkami, udając dumnych zdobywców Europy. Naganiacze zapraszali do kabaretów, policjanci kierowali potokiem samochodów na skrzyżowaniach, w salonach radiowych rozbrzmiewały skoczne dźwięki rock'a. Uliczne latarnie w kształcie pochylonej dłoni jarzyły silnym neonem, kabarety, knajpy, domy publiczne, automaty zręcznościowe, zamieniały miasto w Broadway – w górze ciemność, na dole feeria bajecznych barw. W pierwszych dniach wszystko mnie oszałamiało, podniecało.

Czułem się tu obco, osamotniony i ogromnie zagubiony. W kieszeni ścisnąłem kilkanaście dolarów kieszonkowego na drogę, dlatego na każdym kroku poskramiałem nieodpartą chęć zafundowania sobie czegośkolwiek. Po kilkunastu dniach przechodziłem obok tego niespotykanego w PRL-u bogactwa całkiem obojętnie.

Przyglądałem się uważnie Niemkom, wyrośniętym, dobrze odkarmionym, przyciągającym wzrokiem młodych i starszych. Tym cheszącym się w koński ogon, szarpane koki, tapirowane hełmy. I tym, których oczy podkreślone ołówkiem wydawały się powabniejsze. Uderzała mnie ich naturalność, swoboda, wdzięk każdego kroku i ruchu. Na siłę szukałem odpowiedzi na niełatwe pytanie, kto ładniejszy: Niemka czy Polka? Przeciętna Niemka nie była ładniejsza od swojej polskiej rówieśniczki. A jednak każda Niemka była doskonale zrobiona: wiedziała, że

preparowanie wdzięków to swoista metoda zdobywania partnera. Dlatego uwypuklała i podkreślała, co miała powabnego, chowała, co trzeba było dyskretnie ukryć.

Podziwiałem Frankfurt żywy i barwny. Wzdłuż wystaw sklepowych przesuwali się tłumy sprawiające wrażenie niedzieli: każdy odświeżenie odprasowany, bez fałdki, bez plamki. A jednak wszystko dokoła czyniło wrażenie zwariowanego molocha. Dorośli byli zwariowani. Dla nich wszystko przestało być poezją, wszystko było podszyte aluzją polityczną. Prasa, radio i telewizja dostarczały dzienną porcję wiadomości, informowały o wojnie w Wietnamie i Bliskim Wschodzie. Z kolei spece od meteorologii przepowiadali sztormy, burze, powodzie, katastrofy lotnicze, wypadki drogowe, pożary lasów. Nikt nie musiał rezygnować z żadnych przyzwyczajzeń. W tym mechanizmie Niemcy podatnicy ponosili jednak ryzyko, dla nich żołnierze Bundeswehry byli wyrzutkami sumienia. Czasem nos przylepiałem do bogatych witryn sklepowych, porównując z tymi w kraju, okratowanymi, wypełnionymi planszami, hasłami politycznymi. W tym mieście wystawy kusiły ogromnym bogactwem. W każdym razie w ciągu zaledwie kilku dni wiedziałem dokładnie, jaką wartość miała niemiecka marka.

Któregoś razu stałem przed niezwykle wystawą sklepową i oczom nie dowierzałem. Powątpiewałem, czy dobrze sytuowany frankfurczyk skusi się na wykałaczkę z kości słoniowej, papier toaletowy z własnym monogramem, piżamę z dyskretnie wmontowanym nocniczką? Frankfurt żył cudem gospodarczym. Na każdym kroku trzeba było zerkać na zegarek. Przybysz, taki jak ja, musiał się do niego od razu dostosować. W skle-

pach, barach i restauracjach światło elektryczne paliło się wśród białego dnia, by nie mylono się w rachunkach.

Codziennie czytałem najtańszy dziennik „Bild” przynoszący informacje z procesów kryminalnych, przestępstw seksualnych, szantaży i wyłudzenia pieniędzy. Sprawozdawcy odsłaniali kulisy życia tutejszego półświatka, opanowanego przez chuliganów i bandytów gotowych za pieniądze wykonać najbardziej brudne zlecenie. Przez kilka dni śledziłem z ogromnym zainteresowaniem proces kanibala, który zamordował siedem kobiet, potem je smażył i skonsumował.

Kilkakrotnie na ulicy spotkałem rodaków. Udawaliśmy szczęśliwców, którym z szarej i smutnej rzeczywistości, udało się znaleźć w wielkim świecie – za żelazną kurtyną.

Zapas aprowizacji przywieziony z kraju kończył się. Przyjaciel, który na ten czas użyczył mi dach nad głową, nagle stał się grubiański. Od razu odgadłem jego myśli: mój pobyt u niego dobiegł już końca.

Odtąd przeliczałem skrupulatnie każdą markę, by nie popełnić jakiegoś lekkomyślnego wydatku.

Byłem już nieco zmęczony tym miastem, wołałem tępo wpastrywać się w ekran telewizora. Nie trwało jednak długo, zwykle po godzinie zrywałem się, wybiegałem na miasto. Wydawało mi się, że przy telewizorze świadomie rezygnowałem z wartości, które przemijały poza zasięgiem mojej świadomości.

W ciągu kolejnych dni nic szczególnego się nie wydarzyło. Winda nadal nosiła mnie do mieszkania przyjaciela, który coraz częściej zaczepiał mnie spojrzeniem: *jak długo jeszcze?* De nerwowała mnie jego gra, coraz częściej ogarniał mnie gniew. Czasem miałem ochotę spakować się, wracać przed upływem wizy do kraju.

Tego wieczora wałęsałem się bez celu po luksusowej arterii handlowej – w samym pępku miasta, popularnym Zeilu.

O zmroku solidne bryły domów zaczynały się rozpyliwać. Cienie i półcienie, śpiące w dzień w bramach kamienic, wyrzuciły się niczym ćmy obejmując władzę nad miastem. O tej porze dnia Frankfurt błyszczał jak biżuteria, albo ukryte noże. Przechadzka w świetle latarni ulicznych wydawała się wyjątkowo intrygującym przeżyciem. Wtedy postrzegałem to miasto w dwoisty sposób.

Ceglane domy odbudowane komfortowo ze zgliszcz wojennych, gromadziły w sobie sfrustrowanych mieszkańców, którzy nie znosili spoglądania im w oczy, przenikania ich myśli. Wytworem ich imaginacji był ciągły strach przed inwazją komunizmu. Przybysz taki jak ja, napotykał na każdym kroku mnóstwo nonsensów.

Dochodziła godzina dwudziesta. W teatrach rozpoczynały się spektakle, bileterki sadowiły publiczność na swoich miejscach. W kinach trwały od południa do północy seanse filmowe. W kabaretach konferansjerzy zapowiadali frywolne programy oglądane przez turystów i naiwnych prowincjuszy. Wielu z nich na długo zapamięta gołe tyłki zgrabnych dziewcząt. prostytutki zajmowały bramy, czyhając na frajerów. Zaczynała się kolejna długa noc – Wunderland by Night.



## RAJMUND CZOK

urodził i wychował się na na Śląsku. W latach powojennych studia dziennikarstwa, kulturoznawstwa i marketingu w Warszawie. W latach 80/90 koresp. śląskich mediów w Niemczech. Autor kilkunastu książek, antologii polskich i niemieckich. Członek Stow. Dziennikarzy RP i RFN, Związku Literatów Polskich i Niemieckich. Mieszka na przemian w Gliwicach i Frankfurt/M.



**FRANKFURCKI EPIZOD** przedstawia fascynującą historię pełną miłosnych perypetii młodego dziennikarza ze Śląska, zakochanego w młodej Niemce i jej pełnoletniej córce. Zakochany po uszy, postanawia wybrać wolność za żelazną kurtyną.

„Reporter Śląski” – Zabrze

**FRANKFURCKI EPIZOD** to historia burzliwego związku dwudziestoosmioletniego przybysza zza żelaznej kurtyny, ze starszą o dziesięć lat Niemką imieniem Gabriela. W tle oczywiście - Gomółka i Adenauer – pokusa wybrania wolności ścierającą się z nostalgią i poczuciem lojalności, fascynacja kolorowym światem Zachodu, tak różnym od monotonnej rzeczywistości PRL-u... A na pierwszym planie związek dwojga ludzi, który staje się z dnia na dzień coraz bardziej toksyczny, coraz bliższy temu, co Niemcy nazywają „Haßliebe” – niszczące połączenie miłości z nienawiścią.

Stanisław Truchan „Akant”